

Znów o dobrej i złej robocie



Dzisiejsze zapiski zadedykować pragnę Stefanowi Bratkowskiemu, cokolwiek bowiem może mnie z nim dzielić, jedno z całą pewnością łączy. Satysfakcja z dobrej roboty, gdy się trafia sposobność, żeby ją odnotować, i przykreść dotkliwa, jaką sprawia robota niedbała, nieprofesjonalna, bezmyślna.

Spisuję te uwagi w drugiej połowie sierpnia 1994, w momencie trwającego jeszcze kaca po aferze z postawieniem na czele wywiadu II Rzeczypospolitej byłego superszpiega „obozu socjalizmu”, swego czasu po spaleniu się w USA skazanego na dożywocie i wykupionego za nieliczną cenę 25 szpiegów strony przeciwnej, odsiadujących wyroki w kryminalach PRL-owskich i sojuszniczych. Po cofnięciu osobliwej tej nominacji poniektórzy patrioci podnieśli krzyk, że proszę – Polska znów nie jest suwerenna: jak poprzednio liczyła się z pomrukami Moskwy, tak obecnie dba, by nie zasłużyć na zmarszczenie brwi Waszyngtonu. Ci nieoczekiwani rzecznicy polskiej suwerenności nie są głupcami (w każdym razie nie wszyscy), dobrze wiedzą, co czynią, przedstawiając sprawę w ten sposób. Nie im przeto, lecz innym, co, być może, z ufnością potraktują ich lamenty i argumenty, wyjaśnić warto, że choćby nie w potężnych Stanach, lecz w dowolnej Malcie czy Luksemburgu doszło było niegdyś do kompromitacji czołowego agenta (nazwijmy rzecz po imieniu) sowieckiego ekspansjonizmu, to dzisiaj wyciąganie go z zamrażarki i powierzanie eksponowanego stanowiska w niepodległym polskim wywiadzie jest, oględnie mówiąc, ze wszech miar niekorzystne dla państwa. Fachowcy z MSW i nie wiem skąd jeszcze, którzy uzgodnili między sobą i podjęli taką decyzję, dali po prostu przykład bardzo kiepskiej roboty.

Ale zostawmy na razie sferę działań na wysokim szczeblu i zstąpmy w regiony bliższe piszącemu: sztuki dziennikarskiej i redaktorskiej. Już dość dawno temu w zamieszczonym na rozkładówce „Polityki” (nr 11 z 12 III 1994) dłuższym artykule przeczytałem taką oto informację historyczną:

Jurij Andropow, podówczas (1956) ambasador ZSRR w Budapeszcie, zorganizował kolację z udziałem premiera Imre Nagya, ministra obrony Pala Maletera oraz generała Malinina. Miano omówić kwestie związane z wycofaniem czołgów radzieckich z ulic Budapesztu. Podczas kolacji weszła do sali grupa zbirów, i mimo protestów Malinina, którego zapewne nie wtajemniczano w zamiary, porwała obydwu Węgry, którzy wkrótce potem zostali rozstrzelani.

Autor artykułu wiele pisuje (więc zapewne również czytuje) na tematy międzynarodowe, ale jakoś nie dotarł do niego powszechnie znany fakt, iż premiera Nagya porwano w innym czasie i w innych okolicznościach, długo więziono, a stracono 16 czerwca 1958 roku, czyli niemal dwadzieścia miesięcy po upadku Powstania. Pál Maléter natomiast, wraz z generałem Kovacsem i ministrem Erdei udał się 3 listopada 1956 roku do ambasadora Andropowa nie na miłą kolacyjkę, lecz na beznadziejne skądinąd pertraktacje w sprawie wycofania wojsk sowieckich z Węgier. Całą delegację, zgodnie z ukartowanym zamiarem, w trakcie rozmów aresztowano – i te same nocy ruszył walec tzw. drugiej interwencji, która miała ostatecznie zmiażdżyć Powstanie. Na najwyższą naiwność zakrawa pogląd, iż uczestniczący w zatrzaśnięciu pułapki generał Malinin (ktokolwiek używał wówczas tego nazwiska, bo różne są domniemania) nie był wtajemniczony w akcję „grupy zbirów” i wręcz przeciw niej protestował.

Cierpliwie czekałem na ukazanie się w „Polityce” sprostowania opublikowanych bałamuctw, ale oto mija pół roku...

Na odmianę – przykład przyzwoitej roboty. Miałem w rękę dwa zeszyty „Dokumentów do dziejów PRL”, wydawanych przez Instytut Studiów Politycznych PAN – Pracownię Najnowszej Historii Polski (redaktor serii: Andrzej Paczkowski). Zeszyt drugi, opracowany, jak i pierwszy, przez Aleksandra Kochańskiego, zawiera protokoły posiedzeń Biura Politycznego KC PPR w latach 1944–1945. W protokole z 22 października 1944, w punkcie pierwszym porządku dziennego – informacji z pobytu delegacji PKWN w Moskwie („referuje tow. Tomasz”), czytamy między innymi:

Oдноśnie президента, Сталин предлагает, абы Берут стал się безпартийным. На пробу протесту Сталин ошвидчыл, że jest to konieczne dla narodu i musi to zrobić. Сталин przytoczył rozmowę, jaką miał z Churchillem o Bierucie. Churchill zapytał się Stalina, czy on zna osobiście Bieruta. Сталин odpowiedział, że zna go ze spotkań, jakie z nim miewał jako przewodniczącym KRN. Churchill zauważył, że według wiadomości przez niego posiadanych, Bierut był więźniem politycznym i jako

taki był wymieniony do Związku Radzieckiego. Nie może więc być prezydentem Polski, gdyż nie daje gwarancji obiektywności, będąc zobowiązany wobec Związku Radzieckiego. Stalin odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo, natomiast wie, że Bierut jeszcze w 1939 r. rozszedł się z partią komunistyczną, gdyż ideologicznie mu nie odpowiadała. Od tego czasu Bierut jest bezpartyjny. Wobec tego Stalin oświadcza Bierutowi, żeby zakomunikował swojej partii, że występuje z niej, co on bierze na swoje sumienie.

No rzeczywiście, skoro Stalin zełgał Churchillowi, to subordynowany „towarzysz Tomasz” (partyjna ksywa Bieruta) musi zamienić jego łgarstwo w „prawdę”.

Zabawa z lektury przednia, ale nie tylko za wydobycie z archiwów tych bezwstydných wynurzeń chwałę historyków, którzy je ogłosili. Podziwiam skrupulatność 429 przypisów na 112 stronicach książki – do każdego nazwiska, daty, bardziej lub mniej ścisłego twierdzenia kogoś z „bohaterów” owych protokołów. Na przykład w protokole z posiedzenia KC 9 października 1944 ten sam sprawozdawca referuje inną wypowiedź szefa: *Tow. Stalin krytykował nas za miękkość, za rozlazłość, że nie umiemy wystąpić dostatecznie śmiało. Kiedy się dowiedział, że żaden obszarznik nie został jeszcze posadzony, wymyślał: „Cóż wy za komuniści! To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu”.* Otóż z przypisu nr 82 wynika, że wyrzuty Stalina były niezupełnie słuszne: wprawdzie dopiero w grudniu tegoż 1944 roku kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN wydał okólnik o wszczęciu dochodzeń „przeciw obszarnikom i rządcom, skarżonym o kolaborację z okupantem niemieckim, współpracę z wrogimi PKWN organizacjami oraz trwonienie dóbr folwarcznych po ogłoszeniu dekretu o przeprowadzeniu reformy rolnej”, to do aresztowań ziemian w województwie lubelskim, a w szczególności w powiatach siedleckim, radzyńskim i bialskim, dochodziło już wcześniej – wraz z tą informacją przypis wskazuje również jej źródło.

Niestety, nie zawsze adnotacja „opracował i podał do druku” oznacza tak wzorową robotę. W „Twórczości” nr 6–1994 ogłoszono fragmentaryczny „Dziennik 1955–1960” zmarłego przed dziesięciu laty Andrzeja Kijowskiego. Pozostawiając na boku kwestię, czy nie za wcześniej trochę zdecydowano się na publikację tych intymnych zapisków, sędzę, że skoro już, to warto może było zadbać o wyjaśnienie czytelnikowi, zwłaszcza młodszemu, chociażby kim są wymienione w tekście osoby. Jest ich ponad 150 i wprawdzie zbędną pedanterią byłoby tłumaczenie, kto zacz Cyrankiewicz i Antoni Słonimski – ale, powiedzmy, Hugo

Hanke, Paweł Hoffman, Szewczykowski czy Sztrasser? Wypadałoby przy okazji poprawić mylne odczytanie nazwiska w zapisie z 11 X 1955, iż Różański jako dyrektor PIWu *wprowadzał byłych więźniów (m. in. B. Sadowską, którą kiedyś osobiście kopał po nerkach)*: Barbara Sadowska, po latach również więziona i prześladowana przez Bezpieczeństwo, w okresie, o którym mowa, była uczennicą szkoły podstawowej, przyjęta natomiast do PIWu eks-więźniarka z lat stalinizmu, także Barbara, nosiła inaczej brzmiące nazwisko. 21 grudnia 1955 Kijowski zanotował: *Seweryn Dobrowolski, były uczestnik walk w Hiszpanii, został u nas po wojnie aresztowany*. Zanotował tak, jak usłyszał, ale czy nie należałoby uściślić, że w rzeczywistości chodzi o Szczęsnego Dobrowolskiego, żołnierza Gwardii Ludowej, aresztowanego w ramach preparowania sprawy przeciwko jego dowódcom z wojennej konspiracji w Warszawie?...

Przenieśmy się znów na rozleglejsze nieco przestrzenie, już tylko w skrócie telegraficznym wyliczając:

- dobra robota społeczna – owocny udział arcybiskupa Gołowskiego i Jacka Kuronia w mediacjach pomiędzy zarządem huty Lucchini a strajkującymi pracownikami;

- dobra robota i społeczna, i dziennikarska – zbadanie i ujawnienie przez „Gazetę Wyborczą” afery korupcyjnej w Poznaniu;

- dobra robota polityczna – zaproszenie przez Lecha Wałęsę na obchody pięćdziesiątej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego również przedstawicieli państw ościennych, z których jedno utopiło Warszawę we krwi, a drugie nie udzieliło ginącym pomocy, z praskiego brzegu przypatrując się szyderczo ich samotnym zmaganiom.

Jeżeli przynajmniej jedno z państw-winowajców pośpieszyło na plac Krasińskich, by ustami swego prezydenta, należącego do pokolenia, które nie ponosi bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnię, wyrazić skruchę, żal i chęć zadośćuczynienia, jeżeli dzięki temu gestowi uczyniony został kolejny krok w stronę pojednania, bez którego nie mogą żyć i oddychać wspólnym powietrzem sąsiadujące o miedzę wolne narody, to w decyzji, by umożliwić ten moment, była i dalekowzroczność, i godność.

Tak też w końcu odebrali ją najwidoczniej zgromadzeni na placu weterani Powstania, którzy najpierw powitali niemieckiego przywódcę pełną napięcia ciszą, a następnie pożegnali tchnącymi ulgą oklaskami.

Jedynie komentator tygodnika „Ład” (nr 33 z 14 sierpnia 1994) uparł się, że *zaproszenie przedstawicieli obcych państw na obchody okazało się, zgodnie z oczekiwaniami, niewypałem*.

Nie warto by mu było wypominać tej pochopnej oceny, gdyby nie wypowiedziany w tymże felietonie pomysł na wybór, jakiego winni byli Polacy dokonać pół wieku temu.

Przytaczając „trafnie tragiczny” (zgadzam się z tym określeniem) dwuwiersz powstańczego poety:

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
Byś uwolniła nas od czarnej śmierci*

współpracownik „Ładu” snuje następnie takie dywagacje:

Józef Mackiewicz, i nie on jeden, zwrócił uwagę na fakt, że niemal tylko Polacy i Czesi związali swoje nadzieje z Anglią i Ameryką – pozostali, od Bułgarów, Rumunów i Węgrów, przez Słowaków i Ukraińców, a na Litwinach, Łotyszach, Estończykach i Finach kończąc, wybrali czarną śmierć i liczyli na jej zwycięstwo w zmaganiach z czerwoną zarazą. Polaków i Czechów sojusz z Anglosasami pchał w objęcia Rosjan. Echa tamtych decyzji słychać do dziś.

Jeżeli dobrze rozumiem, autor sugeruje, że Polacy także powinni wybrać raczej „czarną śmierć”, dołączając swoje dywizje do jej maszerujących na Stalingrad armii, a wówczas wyszliby z II wojny światowej jako moralni i faktyczni zwycięzcy... tacy sami, nieprawdaż, jak Rumuni, Słowacy i inni sojusznicy Niemiec, i – dokładnie jak wymienionych – ominęłyby ich czule objęcia Rosji...

Felietonista „Ładu” nie jest osamotniony w podobnym politykowaniu do tyłu: w dodatku tygodniowym do „Rzeczpospolitej” („Plus Minus”) z 27–28 sierpnia dziennikarz o innej zgoła proveniencji w artykule pt. „Wrześniowa alternatywa” wyrzuca przedwojennej Polsce, że lekkomyślnie przeciwstawiła się Hitlerowi, zamiast przyjąć jego warunki i „z rubieży Małaszewicz i Zbrucza” ruszyć u jego boku na Moskwę i Leningrad.

No cóż, nie wykluczone, że w niedalekiej przyszłości będą się mnożyły zbawienne rady dla świętej pamięci ministra Becka – równoległe do kwestionowania aktualnej polityki polskiej, zorientowanej na zbliżenie już nie z narodowo-socjalistycznymi, lecz demokratycznymi, „europejskimi” Niemcami...

Minister Olechowski zdaje się na szczęście nie przejmować atakami na swoją (i nie tylko swoją) dobrą robotę. Szkoda tylko, że komentując nazajutrz po uroczystości na placu Krasińskich przemówienie prezydenta Herzoga, uznał je za trzecie doniosłe wydarzenie w paśmie starań o pojednanie naszych narodów. Słusznie przypominając wspaniało-

nie o konflikt z estetyczną odmiennością tej sztuki od masowej tandety. Na festiwalu w Łagowie (tzw. Lubuskim Lecie Filmowym, na przełomie lipca i czerwca) udało mi się wreszcie obejrzeć nagrodzony tam film Kazimierza Kutza – „Śmierć jak kromka chleba” – o krwawej pacyfikacji kopalni „Wujek” w grudniu 1981. Ponoć w maju przemknął on przez warszawskie ekrany, ale nie było mnie wtedy w kraju, a już w czerwcu bezskutecznie poszukiwałem go w kinach – został zdjęty z powodu braku frekwencji. W ogromnym łagowskim amfiteatrze na wolnym powietrzu oglądałem film Kutza – nie ja jeden – z zapartym tchem: jak uczciwy, jak czysty jest jego patos, bez krzty demagogii, poważny i dramatyczny, zakorzeniony w szczerej prawdzie o wydarzeniu, które nigdy nie powinno się stać zeszlým liściem, uniesionym w dal przez wiatr niepamięci. I obdarzająca je kształtem cielesnym, głosem, pomnożonym trwaniem wspaniała robota reżyserska, operatorska, aktorska... Jeżeli więc prawdą jest, że ludzie nie chcą tego filmu oglądać, to z jakiej przyczyny? Ach tak – nie chcą „smutnego”, chcą zabawowego, owszem, z wszelkim możliwym okrucieństwem i sadyzmem, ale w konwencji bajdy o „mocnych facetach”, „złych” zwyciężających tych „jeszcze gorszych”... A może również – nie chcą pamiętać o tamtym, bo weszłoby to w kolizję z ich tęsknotą za PRL-em, z politycznymi zachowaniami wielu z nich w ostatnim okresie? Tak czy inaczej, ta rezerwa publiczności wobec dobrej roboty Kazimierza Kutza i jego ekipy każe raz jeszcze zastanowić się nie bez gorczy nad rynkową wartością tego pojęcia: cóż po dobrej robocie, kiedy nie ma na nią nabywcy?...

Wracając ze znajomymi z nocnego seansu, zastanawialiśmy się, podnieceni i poruszeni, czy nie byłoby chętnych, żeby, skoro ludzie tak z osobna nie kwapią się na chodzenie na film, który na nas takie wywarł wrażenie, zorganizować nie bezpłatne, lecz w miarę tanie pokazy – może w kołach „Solidarności”, może w parafiach – nie dla celów politycznych, uchowaj Boże, tylko żeby namówionych do przyjścia obdarować niecodziennym przeżyciem, chwilą zadumy, szansą obcowania z odtworzonym, zintensyfikowanym przez sztukę sensem własnej egzystencji... Rozmawialiśmy o tym długo, lecz nie bardzo wierząc w realność tej jeszcze jednej wymyślonej przez nas „dobrej roboty”.

Wiktor Woroszyński

IZABELA CYWIŃSKA